

ks. Eugeniusz Zarzeczny MIC

W SERCU KOŚCIOŁA: MARYJA WZOREM KONSEKRACJI ZAKONNEJ¹

Zanim przejdziemy do zasadniczego tematu naszej refleksji, przypomnijmy sobie słowa zawarte w dekrete II Soboru Watykańskiego *O przystosowanej odnowie życia zakonnego*: „Zakonnicy wierni swej profesji, opuszczając wszystko dla Chrystusa (por. Mk 10,28), niech idą za Nim (por. Mt 19,21) jako za Tym, **który jest jedynie konieczny, słuchając Jego słów** (por. Łk 10,39) i **troszcząc się o Jego sprawy** (por. 1 Kor 7,32). Dlatego członkowie każdego instytutu jako ci, którzy **wyłącznie i przede wszystkim szukają Boga**, powinni łączyć kontemplację, przez którą trwaliby myślą i sercem nieustannie przy Nim, z miłością apostołską, przez którą staraliby się włączać w dzieło Odkupienia i szerzyć Królestwo Boże. Ci, co się zobowiązują spełniać rady ewangeliczne, niech przede wszystkim **szukają i miłują Boga**, który pierwszy nas umiłował (por. 1 J 4,10), i niech się starają we wszystkich okolicznościach prowadzić życie ukryte z Chrystusem w Bogu (por. Kol 3,3), z czego wypływa i doznaje bodźca miłość bliźniego dla zbawienia świata i budowania Kościoła. Miłość ta ożywia także samą praktykę rad ewangelicznych i kieruje nią. Dlatego członkowie instytutów powinni z nieustanną pilnością, w oparciu o autentyczne źródło duchowości chrześcijańskiej, pielęgnować ducha modlitwy i samą modlitwę. Przede wszystkim zaś niech codziennie mają pod ręką Pismo święte, aby przez czytanie i rozważanie

¹ Część niniejszego tekstu ukazała się w formie artykułów w: *Słowo wśród nas*, nr 8 (300), Wyd. PROMIC 2018.

Bożych pism nabyli «wzniosłego poznania Jezusa Chrystusa» (Flp 3,8). Niech zgodnie z myślą Kościoła sprawują świętą liturgię, zwłaszcza najświętszą tajemnicę Eucharystii, z wewnętrzną i zewnętrzną pobożnością i z tego najbogatszego źródła zasila ją swe życie duchowe. Tak pokrzepieni przy stole Bożego Prawa i świętego ołtarza niech po bratersku kochają członki Chrystusa, w duchu synowskim czczą i miłują swoich pasterzy, niech coraz ściślej współżyją i współczują z Kościołem i całkowicie oddają się jego posłannictwu” (*Perfectae caritatis*, 5-6).

Przytoczony tekst soborowy nie stracił swojej aktualności. Wyakcentowane grubą czcionką zwroty przypominają istotę naszego powołania zakonnego, które – jak się wydaje – powinno być kwintesencją powołania chrześcijańskiego. W końcu zakonnicy, według nauczania Kościoła, mają być czytelnym znakiem królestwa niebieskiego, rzeczywistości, do której zmierzają wszyscy chrześcijanie. Śluby, charyzmat, rodzaje zaangażowania, są drogą do stawania się takim znakiem. Niestety zbyt często zapominamy, że ta droga wymaga modlitwy, przebywania ze słowem Bożym, adoracji, braterskiego zmagania się dla tworzenia ewangelicznej wspólnoty. Te elementy drogi nie mogą stać się swoistym rarytasem, ekskluzywnymi dodatkami, na które nas nie stać, bo jesteśmy pochłonięci tak licznymi sprawami, pracą, wyjazdami, „ważnymi sprawami”. Zajmują one tyle czasu, że już nawet wspólne praktyki modlitewne bywają rzadkością. Tutaj mały rachunek sumienia: ile razy odprawiamy Mszę Świętą w pośpiechu, gdzieś w bocznej kaplicy, pomiędzy innymi, ważnymi czynnościami? Ile razy siedzimy w konfesjonale jak na gorących węglach, bo jeszcze tyle mamy do załatwienia? Ile razy „hurtowo” odmawiamy brewiarz? Adoracja staje się stratą czasu, bezczynnością, na którą przecież nas nie stać. Brzmi to nieco moralizatorsko, owszem. Może jednak warto sobie postawić te pytania co jakiś czas, nawet jeśli uwierają, po to, by w pewnym momencie nie rozminąć się z naszym pierwszorzędym powołaniem do zbawienia i nie zapomnieć tego, kim jesteśmy.

Jaki to ma związek z tematem głównym? Ano ma związek ścisły. Skoro jesteśmy w sercu Kościoła, skoro mamy być znakiem przyszłej rzeczywistości, to bez całkowitego oddania się i poddania wszystkiego Bogu w modlitwie, poprzez medytację słowa Bożego, mówienie o naszym miejscu w tymże sercu stanie się pomyłką, uzurpacją grożącą odrzuceniem. Ze zdziwieniem można zauważyć, że słowniku łacińsko-polskim², przy słowie *consecratio* znajdziemy kilka tłumaczeń: święcenie, poświęcenie, ubóstwienie, apoteoza... Znajdziemy również termin „wyklęcie” (*consecro* – przekląć, wykląć). Czyżby odrzucone lub niedocenione, niewzięte na poważnie błogosławieństwo może stać się przekleństwem? Czy łaska dana od samego Boga, „przywalona” licznymi, „jakże ważnymi obowiązkami” może świadczyć przeciwko nam? Trudno powiedzieć. Jednak niepokój pozostaje.

Idąc drogą rad ewangelicznych, szukamy wzorów: osób będących inspiracją, ludzi, którzy poszli tą drogą i osiągnęli szczęście. Szukamy wzorców osobowych, ludzi z krwi i kości, którzy realnie zmagając się z trudną, często okrutną rzeczywistością, zaufali Bogu i dali Mu się prowadzić. Niestety, nie pomagają nam liczne życiorysy świętych, tak skomponowane, że aż trudno czytać, gdzie wyidealizowane postaci pozbawione są niemalże ludzkich cech. „Wylukrowane” obrazki ludzi, których życie pozbawione zostało trudów nam bliskich, codziennych słabości, zmagania się, walki, doświadczenia realnych ciemności sprawiają, że nie zawsze możemy z nich czerpać inspirację. Trudno nam się w tym odnaleźć. Niejednokrotnie nawet Maryja, Matka Pana jest przedstawiana w podobny sposób. A przecież Jej życie było również zmaganiem. Choć była bez zmazy pierworodnej i nie miała doświadczenia grzechu, nie było Jej oszczędzone zmaganie się, pewien niepokój, cierpienie, a nawet niezrozumienie niektórych wydarzeń czy słów. Jednak Jej siłą było bezgraniczne zaufanie Bogu, wiara, chowanie wszystkiego w sercu,

² Słownik łacińsko-polski PWN, Warszawa 1976, s. 115.

w nadziei, że kiedyś zobaczy całość jako cudowną historię, którą Bóg Jej przygotował. Patrzymy często na Maryję przez pryzmat Jej wyniesienia w chwale nieba, przez królewską godność, którą otrzymała jako Matka Zbawiciela. Spróbujmy jednak spojrzeć na Jej historię oczami dziecka, które patrzy na matkę i uczy się. Spróbujmy spojrzeć oczami ucznia, który czerpie z siły i doświadczenia Tej, która stała się Pierwszą Uczennicą swojego Syna, która nie bała się bliskości Boga: onieśmiałającej, choć nieniszczącej, sprawiającej, że Jego słowo się wypełnia, że na końcu jest szczęście, którego przecież tak bardzo pragniemy. Jej historia wydarzyła się naprawdę. Przechodząc wraz z Nią naszą własną historię, możemy wiele zrozumieć, nauczyć się, zrozumieć, co znaczy być w sercu Kościoła, co więcej: być w sercu samego Boga.

Kiedy Bóg wkracza w życie

W Piśmie Świętym, w Nowym Testamencie, spotykamy po raz pierwszy Maryję w momencie zwiastowania (por. Łk 1,26nn). W Nazarecie, małej miejscowości, niemającej żadnego znaczenia geopolitycznego, położonej w lekceważonej Galilei, mieszka skromna, prosta dziewczyna. Wierna zasadom życia kobiety żydowskiej, właśnie została zaślubiona cieśli – Józefowi. Pierwsza część ceremonii jest już za Nią. Została poślubiona: choć jeszcze nie zamieszkała z mężem, to prawnie należy już do niego. Ceremonia przenosin do domu męża była przed Nią. Dopiero po tej „części” zaślubin mógł On w pełni korzystać z praw małżeńskich, by w niedalekiej przyszłości mogła stać się matką jego dzieci. W tym właśnie momencie, wydawać by się mogło – najmniej stosownym i wygodnym, Bóg posyła swojego anioła, by oznajmił Maryi, że będzie Matką Syna Bożego, że to nie Józef będzie Jego ojcem, że będzie nim sam Bóg i że stanie się to za sprawą Ducha Świętego! Pewnie przyzwyczailiśmy się do tego tekstu; słyszeliśmy go tyle razy, tyle komentarzy wysłuchaliśmy. Może już nie odczuwamy dramaturgii tej sytuacji, może

bronimy się w ten sposób przed czymś, co kompletnie przeraża naszą wyobraźnię, nasz umysł, nawet naszą wiarę. Niestety, bywa, że czytamy Ewangelię jak zestaw bajek, historię, która i tak dobrze się kończy. Jest pewna dramaturgia, przebieg akcji, trochę znaków zapytania, a potem szczęśliwy koniec. W sumie wszystko już wiemy. W ten sposób nijak nie możemy dostrzec relacji, odniesienia czytanego słowa do naszego życia, jego znaczenia dla nas. Słowo w takiej sytuacji nie jest dla nas światłem. A przecież celem napisanych Ewangelii jest, abyśmy wzrastali w wierze. Wróćmy jednak do zwiastowania. Maryja, choć głęboko poruszona, zmieszana, pewnie też zaskoczona pozdrowieniem anioła i treścią jego przesłania, zdaje się zachowywać jednak pokój, który płynie z głębi Jej serca. Zadaje tylko jedno pytanie: „Jak się to stanie?”, odpowiedź anioła sugeruje, że Bóg zajmie się wszystkim, że Ją ochroni przed oskarżeniem o zdradę, że to jest Jego dzieło. Kluczem do tego, by się zrealizowało, jest Jej zgoda, Jej „Tak”. W owym „Tak” (*fiat* – „niech się stanie”) jest wszystko: wiara, że Bóg może dokonać rzeczy przekraczających ludzki rozum i ludzkie możliwości, gotowość na niesienie konsekwencji owej zgody, wierność w słuchaniu Bożych natchnień, a przede wszystkim miłość do Stwórcy i pełne zaufanie, że cokolwiek On postanowi, jest dobre.

W Liście do Galatów czytamy, że: „Gdy nadeszła pełnia czasów, Bóg zesłał Syna swego, zrodzonego z niewiasty (...)” (Ga 4,4). Ta pełnia może oznaczać, że Bóg nie działa przypadkowo. Świat dojrzał, przygotowany przez proroków, aż do Jana Chrzciciela, by Słowo objawiło się. Dojrzała również Maryja. Świat zapatrzone w siebie nie rozpoznał jednak czasu nawiedzenia. Mimo to wystarczyło słowo Maryi – „Tak”, by Mesjasz przyszedł na świat. Wiara uczyniła Ją Bramą, przez którą Bóg w swoim Synu przyszedł między ludzi, stając się jednym z nas. Bóg przygotował Ją swoją łaską. Pozdrawiając Maryję, anioł Gabriel użył sformułowania „pełna łaski”. Kościół związał te słowa z wiarą w to, że Maryja została poczęta bez zmyzy pierworodnej, że jest Niepokalanie Poczęta. Ów przywilej został Jej

udzielony ze względu na Jezusa Chrystusa, który miał się z Niej narodzić. Bóg przygotował mieszkanie dla swojego Syna. Mimo tej łaski udzielonej „z zewnątrz” trudno jednak sobie wyobrazić Jej gotowość na przyjęcie Słowa bez modlitwy, wewnętrznego dialogu z Bogiem, czulej miłości do Stwórcy, całkowitego oddania Jemu swojego serca. Maryja, mimo swego onieśmielenia słowami anioła nie boi się. Jest pełna bojaźni pańskiej, lecz nie lęku, panicznego strachu, koncentrowania się na własnej niemocy. Bóg nie jest dla Niej zagrożeniem. Nie jest najważniejsze, jakie plany miała na swoje życie i czy w ogóle je miała. Miłość do Boga, pragnienie, by się Jemu podobać. To było najważniejszym celem Jej życia. Jej miłość nie stała w sprzeczności z miłością do innych. Jest kilka scen w Ewangelii, które są dowodem tej postawy. Maryja pozwalała, by Bóg Ją prowadził. W tym wszystkim nie pozostawała bierna. Świadomy wybór takiej drogi nie pozabawił Jej rozeznawania, stawiania pytań, przeżywania w pełni swojego człowieczeństwa, kobiecości i macierzyństwa. Każde słowo, każde wydarzenie „chowala w swym sercu”, starając się wsłuchiwać i rozpoznawać ich znaczenie.

A my?

„Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną” (Ap 3,20).

Te słowa z Apokalipsy nie odnoszą się do jakiegś nieokreślonej, odległej lub symbolicznej perspektywy. Uczta w języku biblijnym oznacza spotkanie przyjaciół przy stole, by się weselić, by świętować i dzielić tym, co najlepsze. Jezus stojący u drzwi, pukający to obraz uniżenia się, pokory, ale też troski. Syn Boży czeka, by Go wpuścić do serca, do życia, by być z Nim. Pukaniem przypomina o swojej obecności. Nie wchodzi przemocą, bo chce być wpuszczony, poznany, wybrany i kochany. Jaki to ma związek z Maryją, ze zwiastowaniem? Miłość Maryi, Jej przywiązanie do Boga nie każą Mu czekać. Między Nią a Bo-

giem nie ma dystansu, który mógłby ich dzielić. Ta bliskość sprawia, że Maryja ma serce czułe na każde drgnienie Jego miłości, potrafi nie tylko zauważyć, ale wręcz wyczuć Jego obecność. Kiedy Bóg mówi, Ona wie, że to On, a nie kto inny. Maryja wybrała Boga, mimo, że to On Ją wcześniej wybrał. Nie jest bierna. Swoją wolą, rozumem, uczuciami, ciałem świadomie Go wybrała. Ten wybór nie ograniczał Jej, nie pozbawił też miłości do Józefa, któremu również zaufała, wierząc, że Bóg dotknie i jego serca. Nie tłumaczy się przed nim, z ufnością zdaje się na jego decyzje, pamiętając, że anioł obiecał Jej, że Bóg Ją osłoni i obroni. Dary złożone w Jej sercu rozkwitają i wydają owoce. Słowo Boga przyjęte stało się w Niej ciałem, rzeczywistością, która rośnie, dojrzewa, by ukazać się światu. Można powiedzieć, że Jezus narodził się z połączenia Bożego wybrania i miłości Maryi. Bóg wybrał Maryję, ale i Ona wybrała Jego. Jej ciało stało się namiotem spotkania: bóstwa z człowieczeństwem, bez zmieszania, w doskonałej jedności.

„Wejście” Boga w życie Maryi całkowicie odmieniło Jej życie. Moment zwiastowania wskazał Jej misję i drogę, na której miała ową misję zrealizować. Bóg nie przedstawił Maryi „całościowego” programu. Przypomnił Jej tożsamość, dary, w które została wyposażona, i to, że będzie z Nią. Choć może niejednego to zdziwić, to podobnie jest w naszym życiu. Wobec każdego z nas Bóg ma jakiś plan, propozycję, zadanie czy misję. Nie chce nas pozbawiać czegokolwiek. Chce nadać naszemu życiu smak, głęboki sens i cel. On pragnie naszego spełnienia i na pewno pragnie tego, byśmy byli szczęśliwi. Nas również chce chronić, co nie oznacza braku trudności. Obiecuje swoją obecność szczególnie tam, gdzie rzeczywistość zdaje się nas przerastać. Jest wierny i dotrzymuje słowa. Zgodnie z tym, co napisane jest u proroka Izajasza: „Nie lękaj się, bo cię wykupiłem, wezwałem cię po imieniu; tyś moim! Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, i gdy przez rzeki, nie zatopią ciebie. Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się, i nie strawi cię płomień. Albowiem Ja jestem Pan, twój Bóg, Święty Izraela, twój Zbawca” (Iz 43,1-3).

Owszem, nie jesteśmy niepokalani, ale też nie naszym zadaniem jest zrodzenie w ciele Mesjasza. „Niepokalaność” Maryi jest jednak zapowiedzią tego, do czego chce nas doprowadzić Bóg. Owa „nieskalaność” jest stanem, do którego Bóg chce nas doprowadzić.

„Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, On napełnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym na wyżynach niebieskich – w Chrystusie. W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli, ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym” (Ef 1,3-6).

Na naszą drogę ziemską mamy jednak potrzebne wyposażenie nadprzyrodzone, dane przez Boga, w postaci łaski chrztu świętego, sakramentu pojednania, Eucharystii i zakonnej konsekracji, które czynią nas zdolnymi do przekraczania naszych ograniczeń. Mamy Pismo Święte, słowo, przez które Bóg do nas mówi. Mamy wspólnotę Kościoła, który modli się za nas każdego dnia. Mamy wreszcie nasze wspólnoty zakonne, w których dojrzewamy. Bóg mówi do nas przez wydarzenia, osoby, które spotykamy. Mówi również wewnątrz nas, prosto do serca poprzez natchnienia do czynienia dobra, głos sumienia, który pozwala wybierać to, co dobre i odrzucać to, co złe. Bóg udziela nam darów Ducha Świętego, bo jesteśmy Jego dziećmi. Ma moc uwolnić nas od naszych lęków, wydobyć z grobów zwątpienia, uleczyć przez przebaczenie. Są tylko dwa warunki, bez których nigdy nie dostrzeżemy tego wszystkiego. Pierwszym jest modlitwa, która będzie spotkaniem, rozmową, dialogiem z Kimś, komu ufamy, kogo wybierzemy, rezygnując z koncentracji na sobie. Drugim warunkiem jest powiedzenie Bogu „tak” na naszą historię, na Jego zaproszenie, bez warunków, dodawanych „aneksów”. Wiąże się z tym otwarcie serca i zaufanie. Lęk i ucieczka przed Bogiem jest śladem, pierwszym owocem grzechu pierworodnego, znakiem swoistej kate-

chezy Złego, który za wszelką cenę chce nas oddzielić od Źródła życia – od Boga. Kto wie, może trzeba zacząć od pytania, jaki obraz Boga noszę w sobie? Unikanie Boga, ucieczka przed Nim, lęk, że jest jakimś agresorem, że chce mi coś odebrać, płynie właśnie z fałszywego obrazu Boga, iluzji, którą zatruł nas zły duch. Człowiek wpatrzony w siebie nie chce słuchać. Pierwsze przykazanie, które otrzymał naród wybrany po wyjściu z Egiptu brzmiało: „Słuchaj Izraelu (...)” (Pwt 6,4). Modlitwa, czytanie i medytacja słowa Bożego musi opierać się na słuchaniu, na byciu uważnym. Maryja umiała słuchać. A my? Zabiegani wśród codziennych zajęć, powinności, konstruowania kolejnych projektów, zapominamy, co oznacza słuchać Boga. W hałasie świata, który przenika nasze klauzury, nie znajdujemy często nawet chwili, by się wyciszyć. Tłumaczymy to brakiem czasu. „Wycinamy” z naszego życia modlitwę, by mieć czas na inne rzeczy i ciągle nie nadążamy za pędzącym światem, jakby było koniecznym go gonić. Ciche pukanie Jezusa niknie w zgiełku wielu zajęć, niekoniecznych spotkań, wielosłowia. Coraz bardziej jesteśmy zmęczeni. Szukamy więc chwil odpoczynku nie zdając sobie sprawy, że najbardziej jesteśmy zmęczeni sobą, a od siebie nie da się uciec, odpocząć. Jest to możliwe jedynie w obecności Boga. Oddając Mu wszystko, pozwalając Mu wejść do środka naszej rzeczywistości, możemy odnaleźć wewnętrzny pokój, harmonię, a nasza historia nabiera rumieńców, sensu. Na zewnątrz może się nic nie zmienić. Jednak pokój serca, radość z bycia z Bogiem, którego się wybrało, zmienia wszystko. Każde, dosłownie każde nasze działanie, plany czy inicjatywy musi poprzedzać modlitwa i rozeznanie. W modlitwie podstawowym pytaniem powinno być: co mam czynić? jak żyć, by podobać się Bogu?

Noc cierpienia

„Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił? Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku. Boże mój, wołam przez dzień, a nie odpowiadasz, wołam i nocą, a nie zaznaję pokoju” (Ps 22,2).

Doświadczenie cierpienia nikomu z nas nie jest obce. Doświadczamy go na poziomie fizycznym, psychicznym i duchowym. Ponieważ stanowimy całość i nie da się żadnego z nich oddzielić od reszty naszego człowieczeństwa, każde z nich jest bolesne i zazwyczaj obejmuje całą osobę. Rzeczywiste cierpienie daje poczucie, że nie panujemy nad sobą, nad rzeczywistością, że ono przekracza nas, osłabia i czyni bezradnymi. Owszem, próbujemy sobie jakoś radzić, lecz mimo to rzeczywiste cierpienie, prawdziwy krzyż, zdaje się nas miażdżyć, ogałacać, przygniatając nieznośnym ciężarem. Jednym z najtrudniejszych doznań jest poczucie samotności, świadomość, że nikt nas nie rozumie, a nawet jeśli rozumie, to i tak nie jest w stanie nam pomóc w sposób satysfakcjonujący. Wydaje się, że nikt nie jest w stanie nas od niego uwolnić. Obok cierpienia przeżywanego przez daną osobę istnieje również współcierpienie, rodzaj współodczuwania. Jego intensywność zależy od stopnia bliskości i zażyłości z osobą cierpiącą. Im bardziej kogoś się kocha, tym bardziej w jakiś tajemniczy sposób odczuwa się jego ból, jego cierpienie. W naturze najsilniejszą więzią jest ta, która łączy matkę z dzieckiem. Oczywiście brać należy pod uwagę relację normalną, zdrową, nie zaburzoną, chorą czy patologiczną. Kiedy cierpi dziecko, matkę również przeszywa jakiś nieopisany ból. Kiedy dziecko umiera, serce matki jest jakby również rozerwane: jakby coś w niej umierało razem z nim. Przeżywaniu takiego cierpienia również towarzyszą doznania, emocje i odczucia, o których była mowa wyżej.

Nieprzyjęty Bóg

Jednym z najtrudniejszych doznań w cierpieniu jest poczucie samotności, opuszczenia i pustki. Coś, a może ktoś szepcze do ucha: „jesteś sam, nikogo twoje cierpienie nie interesuje, nikt Cię nie kocha wystarczająco, aby cię zrozumieć, nikogo tak naprawdę nie obchodzisz”. Z perspektywy wiary można stwierdzić, że nie jest to dobry duch ani anioł, ani obiektywna prawda. Pierwszą Osobą, która zawsze jest obecna, jest Jezus. Bóg wcielony,

Syn Ojca Niebieskiego, który nie zawahał się unieść tak nisko, jak nisko może zejść, upaść, zostać zepchnięty człowiek. Przyjął ciało z pokornej, ubogiej i prostej dziewczyny, której jedyną siłą była wiara i miłość do Boga. Miriam – Maryja, w prostocie przyjęła Boga w swoim łonie, by wydać Go na świat. Zbawiciel świata narodził się w skrajnym ubóstwie, jeszcze przed narodzeniem wzgardzony, nieprzyjęty, niosący na sobie całe ubóstwo tego świata. Z miłości do człowieka stał się tym, który nie ma gdzie głowę oprzeć, biedniejszy niż ptaki, które mają gniazda, niż lisy, które mają swoje nory (por. Łk 9,58). Przyszedł do swoich, a swoi Go nie przyjęli (por. J 1,11), odrzucając tym samym Słowo samego Boga. Na poziomie duszy i ducha doświadczył największego cierpienia. Bo cóż boli bardziej niż odrzucona, czysta i bezinteresowna miłość? A przecież była to miłość samego Boga. Jednak nie poprzestano na zadaniu Mu tego „tylko” cierpienia. Jakby mało było tego odrzucenia, również Jego Ciało zostało zmiażdżone, poniżone i wyśmiane, wystawione na pokaz dla większego udręczenia (por. Iz 53,1-12). Jego męka jednak zaczęła się wcześniej przed pojmaniem, osądzeniem i ukrzyżowaniem. Niezrozumienie, osądy, samotność. Nawet uczniowie, którzy mieli własny, iluzoryczny obraz Mesjasza, nie mieli wystarczająco dużo sił, żeby czuwać, gdy przeżywał trwogę w Getsemani, Judasz, który Go wydał za cenę niewolnika, Piotr, który się zaparł z lęku, inni, którzy pouciekali. Może to wszystko bolało równie mocno, co fizyczne udręki męki. To była cena, za którą wykupił nas spod władzy śmierci. Wszystkim, którzy są miażdżeni przez cierpienie, Jezus mówi: „nie jesteś sam, choćby najbliżsi o tobie zapomnieli, Ja nie zapomnę nigdy” (por. Iz 49,14-16).

Matka

W tych wydarzeniach, w bardziej lub mniej widoczny sposób uczestniczyła Maryja. Od chwili powiedzenia Bogu „tak” podczas zwiastowania, cała historia Jej życia toczyła się wo-

kół Syna. Ktoś złośliwy mógłby stwierdzić, że cierpienie Maryi przyszło „przez” Jezusa. Spoglądając okiem chłodnego pragmatyka, skoncentrowanego na sobie ktoś może powiedzieć, że gdyby nie przyjście Jezusa, gdyby nie misja, którą Bóg powierzył Maryi, mogłaby Ona wieść życie spokojne i bez aż takich problemów. Jednak cóż znaczy takie życie, w oderwaniu od Boga, gdy żyjąc wyłącznie dla siebie powoli umiera się, pogrążając się w smutku coraz większej samotności? Dla Maryi Bóg był największym sensem Jej istnienia. Nie było ceny, która mogłaby wynagrodzić czy zastąpić Jego obecność, Jego wierną miłość. Bez swojego „tak” nie mogłaby wyśpiewać *Magnificat*, uwielbiając Boga. Maryja musiała zdawać sobie sprawę, że obojętność i odrzucenie, ucieczka do Egiptu, Jej trud pierwszych chwil macierzyństwa miały ścisły związek z Jej Synem. A przecież był to dopiero początek. Dopiero miało się spełnić proroctwo Symeona podczas ofiarowania w świątyni, który oprócz uwielbienia i radości ze spotkania z Mesjaszem, prorokował Jej ból, który jak miecz miał przeszyć Jej serce.

Maryja świadomie weszła w perspektywę cierpienia zanim jeszcze Jezus jako człowiek – dziecko mógł pojąć jego ciężar. W swoim cierpieniu dla Jezusa, Maryja chroniła swego Syna, otaczając Go troską i miłością. Nigdy nie straciła wiary w to, że nie ma nic cenniejszego nad Jego obecność, że to On wybawi swój lud. Cierpienie było dla Niej swoistą próbą wiary, która z każdym dniem stawała się coraz większa, dojrzała, gotowa na najcięższe doświadczenia. Maryja jako Matka – można chyba tak powiedzieć – dźwigała cierpienia matek, które niosą trud macierzyństwa, które chronią swoje dzieci przed złem tego świata. Jest z tymi, które muszą bronić dzieci niechcianych przez świat, pogardzanych. Ile matek dzisiaj musi zmagać się, by przyjąć dzieci chore czy też te, które jakoby zagrażają ich zdrowiu i życiu. Jest tak blisko tych matek, którym różni ludzie mówią: „takie dziecko jest niepotrzebne, niepełnosprawne, nie pasuje do naszego społeczeństwa”. Ona jest blisko tych, które muszą zmagać się z przyjęciem poczętego życia, które „niepla-

nowane” zagraża karierze, jest „nadliczbowe” lub po prostu zakłóca „święty spokój” i wymarzony komfort życia. Jest Matką dla tych, którzy nie są takimi, jakimi chcieliby być. Jest Matką dla tych, którzy czują się niepotrzebni, niechciani, zmarginalizowani, również we wspólnotach zakonnych. Od początku, od narodzenia Jezusa Maryja słyszała: nie chcemy Cię w takim stanie, nie chcemy Cię z Nim. Uciekając do Egiptu, być może nie rozumiała, dlaczego to Dziecię było zagrożeniem dla władzy okrutnego Heroda, tak jak trudno pojąć komuś, kto ma serce czyste i proste, okrucieństwo i bezmyślność tego świata. Kiedy w ferworze podróży, pielgrzymim zamieszaniu, straciła z oczu dwunastoletniego Jezusa, towarzyszył Jej ból serca, z jakim Go szukała. W swoim cierpieniu jest więc bliska wszystkim tym, którzy zapędzeni w codzienności, przytłoczeni licznymi troskami, tracą Jezusa z oczu i przez to spostrzegają z czasem, że ich życie straciło sens. Idąc dalej, jakże bardzo rozumie tych, którzy przyjmując Jezusa, w codziennej egzystencji zmagają się, by dochować Mu wierności bez nadzwyczajnych znaków, bez wyjątkowych objawień, w prostocie, wierząc w spełnienie się Bożych obietnic. Prawie trzydzieści lat żyła w obecności Syna, który dorastał, dojrzewał, uczył się czytać, pisać, pracować; Syna, który śmiał się, płakał, był pełen różnych emocji, nie tracąc wiary, że patrzy na Tego, który miał być spełnieniem oczekiwań Izraela, który miał obwieścić królestwo niebieskie.

Największa próba

Maryja nazywana jest pierwszą uczennicą Jezusa. Słowa, które głosił, prawdy, które objawiał, w Jej sercu, znajdowały żywną glebę. Podążając za Synem w końcu doszła do Jerozolimy, do Krzyża, do Golgoty. To miejsce jest figurą tych wszystkich miejsc, do których w drodze wiary dochodzi w taki czy inny sposób każdy wierzący: świecki, konsekrowany, ksiądz. To stanięcie wobec naszej największej słabości, cierpienia, nad którym nie mamy władzy, które nas całkowicie ogałaca. Golgota jest

znakiem tego wszystkiego, co nas przeraża, całkowicie obezwładnia, miażdży. To ostatnie miejsce, które chcielibyśmy „odwiedzić”; to miejsce, w którym Szatan próbuje nam wmówić, że Bóg nas nie kocha, że nas opuścił, i że wszystko to, co już przeszliśmy, nie miało sensu, i że nie ma dla nas żadnej nadziei. To najmocniejsze, najgorsze kuszenie, w którym nieprzyjaciel Boga i człowieka próbuje nas przekonać, że śmierć jest największa, że jest ostatecznym końcem wszystkiego, że jesteśmy skazani na unicestwienie. Jedna siła może sprawić, że nie opuścimy Jezusa w tej najciemniejszej chwili. Jest nią miłość: czysta, bezinteresowna, gotowa na wszystko, niewstydzająca się niczego, za nic mająca drwiny innych, obelgi, złorzeczenia i lekceważenie. Tylko cztery osoby pozostały do końca pod krzyżem. Na pierwszym miejscu wymieniana jest Maryja, Matka Jezusa. Jest Jan, najmłodszy i umiłowany uczeń, jest Maria, żona Kleofasa, niewiasta dzielniejsza niż jej mąż, który – gdy tylko mógł – postanowił uciec z Jerozolimy do Emaus (por. Łk 24,18). Była też Maria Magdalena, która od Jezusa doświadczyła uwolnienia, przebaczenia i doświadczenia darmowej miłości Bożej. Która z tych osób mogła cierpieć najbardziej? Matka. Jej cierpienie rozlewało się po Niej całej. Na poziomie naturalnym było to cierpienie Matki, która ogląda umęczonego, zdruzgotanego cierpieniem Syna. W porządku nadnaturalnym widziała zło, które dotknęło Nieskończone Dobro, Syna Bożego, który dobrowolnie tak się uniżył, że nawet w śmierci był podobny do największych przestępców i niewolników. Cierpiała, widząc wzgardzoną i niechcianą miłość, która jest jednak mocniejsza niż śmierć i dlatego pozwoliła się ukrzyżować. Nikt, kto nie był świadkiem umierania swojego dziecka, nie jest w stanie wyobrazić sobie Jej bólu. Miłość czyni bardziej wrażliwym, czułym, czyniącym delikatniejszym i współodczuwającym serce. Jej miłość była jak Jej serce: czysta i nieskalana. Dlatego widząc najniewinniejszego z niewinnych, wiszącego i umierającego na krzyżu Syna, cierpiała. Miecz bólu rozerwał Jej serce, czyniąc Ją tak bliską Synowi, któremu serce przebito włócznią. To dlatego nazywa się

Maryję Współcierpiącą Matką, bo nikt nie był tak blisko Jezusa w Jego cierpieniu, jak Jego Matka. Cierpienie Jezusa skupiło w sobie wszystkie bóle świata, grzechy, które popełniamy, złość, której jest tyle w nas, niewiarę i niewdzięczność wobec Boga wraz z odrzuceniem Go. Przez krzyż Jezus zniweczył moc śmierci, która nas dotyka, ale nie kończy naszej historii, nie jest naszym ostatecznym unicestwieniem, bo została zwyciężona. Przez cierpienie Jezusa Maryja miała szczególny udział w tym odczuwaniu zła i bólu miłości, która tak często jest odrzucana. Znając nasze udręki i bóle, powierza je swojemu Synowi. Maryja nie uciekła, nie zlorzeczyła, nie buntowała się, chociaż Jej wiara została poddana największej próbie. Miłość i zaufanie do Boga i Jego Syna pozwoliły Jej przejść tę najciemniejszą z nocy. Maryja całą sobą mówi nam: „Ty też możesz przez to przejść. Nie jesteś sam. Mój Syn ma moc Cię przeprowadzić przez takie doświadczenia. Ja również będę z tobą, bo cię kocham, bo zostałeś mi dany w osobie Jana Ewangelisty jako dziecko”.

Nowa droga

Według pewnej tradycji Jezus Zmartwychwstały najpierw objawił się swojej Matce. Czy tak było? Nie wiadomo. W Ewangeliach nie ma żadnej wzmianki na ten temat. Tutaj możemy pójść za intuicją niektórych świętych, teologów, a nawet poetów czy mistyków. Święty Ignacy w *Ćwiczeniach duchownych* napisał wprost: „[Zmartwychwstały Pan] ukazał się Dziewicy Maryi. Choć nie mówi o tym Pismo Święte, to należy uważać tę prawdę za wypowiedzianą wobec faktu, że opowiedziano o Jego ukazaniu się tylu innym”.

Po latach intuicję świętego z Loyoli podjął Jan Paweł II w swoich katechezach maryjnych. Ojciec Święty zauważa, że po złożeniu Jezusa do grobu Maryja „podtrzymuje płomień wiary, przygotowując się na przyjęcie radosnego i niespodziewanego orędzia Zmartwychwstania”. Wyraża też przekonanie, że „oczekiwanie, które wypełniło Wielką Sobotę, jest jednym

z najwznioślejszych momentów w dziejach wiary Matki Bożej: w ciemnościach spowijających wszechświat zawiera się Ona całkowicie Bogu życia i rozważając słowa Syna, z nadzieją czeka na pełną realizację Boskich obietnic”. Papież nie rozstrzyga wątpliwości: dlaczego Ewangelie opisują sceny, w których Zmartwychwstały ukazał się wielu ludziom, a nie wspomina o Jego spotkaniu z Matką. Na pewno objawił się tym, którym trudno było uwierzyć, że żyje. Maria Magdalena, nazwana apostołką apostołów jako pierwsza ujrzała według słów ewangelistów Zmartwychwstałego. Jednak i ona poszła przecież namaścić pogrzebane ciało, żeby dopełnić rytuału pochówku. Płakała, bo myślała, że jakiś ogrodnik przeniósł ciało Jezusa. Uczniowie pochowani ze strachu z trudem przyjmowali nowinę przyniesioną przez niewiasty. Piotr i Jan uwierzyli, gdy zobaczyli pusty grób, który stał się dla nich i pozostałych uczniów dowodem materialnym zmartwychwstania. Wszyscy musieli mieć jakiś dowód (czy to widząc Jezusa, czy to widząc pusty grób), na to, że żyje. Czy Maryja potrzebowała dowodu? Czy raczej w sercu naprawdę wierzyła, że spełnią się słowa Bożej obietnicy. Podobnie jak podczas zwiastowania, tak teraz dźwięczy nam w uszach głos Elżbiety ze sceny nawiedzenia: „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana” (Łk 1,45).

Po dziś dzień sławimy wiarę Maryi, która wierzy każdemu słowu Boga. Czyż mogło być inaczej i teraz? Skoro uwierzyła, że Jej Syn jest Synem Boga, wierzyła każdemu Jego słowu. Musiała słyszeć o tym, jak zapowiadał swoją mękę i powstanie z martwych. A skoro tak, nie musiała sprawdzać, nie musiała biec do grobu, by uwierzyć. Być może czekała, aż Bóg dalej poprowadzi historię i Jezus ukaże się Jej w stosownym czasie. W *Dziejach Apostolskich* czytamy, że apostołowie trwali na modlitwie z Maryją. A może wokół Niej? A może Ona swoją postawą pokazywała im, jak należy czekać na spełnienie się Bożych obietnic? Ona wiedziała, że bywa taki czas, kiedy historia nas przekracza.

W relacji z Bogiem najważniejszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to trwać na ufnej modlitwie, przyłgnąć do Niego całym sercem i pozwolić, by to On prowadził naszą historię. Kiedy Jezus został ukrzyżowany, uczniowie puciekali. Poza Maryją i Janem tylko dwie osoby wytrzymały do końca. Można też stwierdzić, że poza Maryją wszyscy w jakiś sposób ulegli przygnębieniu i niedowierzaniu. Jej miłość nie ograniczała się do wiernego trwania. Jej miłość pozwoliła przekraczać granice ludzkiej wyobraźni, sięgając ku wieczności. Podobnie jak wcześniej, zapewne i teraz chowała w sercu wszystkie wydarzenia, słowa i rozważała ich znaczenie. Nie osądzała historii, Boga ani prześladowców. Swoją ból chowała w sercu, nie uciekając przed nim ani nie szukając tanich pociech. Jej postawa, jakże bliska była postawie Abrahama, ofiarującego swego syna Izaaka, z tą różnicą, że Jej Syn nie został oszczędzony. Bóg był Jej jedynym oparciem i nadzieją. Po zmartwychwstaniu oczekiwała obiecanego Pocieszyciela – Ducha Świętego, który przyjęty otwartym sercem objawił całą prawdę, najgłębszy sens historii. Dzięki takiej wierze i zaufaniu wypełniły się słowa, które wyśpiewała w proroczym uniesieniu podczas wizyty u Elżbiety: „Oto bowiem odtąd błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny” (Łk 1,48n). Z historycznego punktu widzenia ostatnim wydarzeniem opisanym w Nowym Testamencie, w którym uczestniczy Maryja, jest zesłanie Ducha Świętego w Dniu Pięćdziesiątnicy (Dz 1,14; 2,1-2). Jednak Kościół w swojej intuicji wiary podaje nam dalsze „losy” Maryi. Logika wiary nakazywała wnioskować, że skoro ze względu na Jezusa Maryja poczęta była bez grzechu, to z tego samego powodu Jej ciało zostało uchronione od zepsucia po zakończeniu Jej ziemskiej pielgrzymki. Stąd płynie wiara, że zaraz po śmierci (lub jak inni wolą – zaśnięciu) została wzięta do nieba, z duszą i ciałem, by potem idąc za słowami Apokalipsy, stać się Królową Niebios, naszą najlepszą Orędowniczką.

Od posłuszeństwa do królowania

Zapewne Maryja nie zdawała sobie sprawy, że przyjmując Jezusa do swojego łona podczas zwiastowania, stanie się Matką Kościoła. Symbolicznym momentem, gdy to się stało, było przyjęcie Jana pod krzyżem jako syna. Narodzony z przebitego boku Chrystusa Kościół – Mistyczne Ciało Chrystusa – otrzymał Matkę. To dlatego Maryja, podobnie jak uczyła małego Jezusa pierwszych kroków, modlitw i tego wszystkiego, czego może nauczyć dziecko matka, aż do osiągnięcia jego dojrzałości, jest również Nauczycielką dla Kościoła, dla nas. Maryja, będąc pierwszą osobą w Kościele, będąc jego Matką, uczy każdego z nas modlitwy, zaufania, cierpliwości, czystości, wierności i całkowitego przyłgnięcia do Boga. Ma do tego wszelkie uprawnienia, gdyż przechodząc drogę wiary, poprzez trud, cierpienie, niepewność i ciemności nigdy nie zwątpiła w miłość i wierność Boga. Nigdy też nie koncentrowała się na sobie, lecz całą sobą wskazywała na Chrystusa. Wszystkie objawienia Maryjne uznane przez Kościół kierują ludzi w stronę Syna i Boga Ojca. Pokorna Służebnica Pańska poprzez swoje uniżenie i wierność, poprzez pokorę i zaufanie, poprzez miłość i wielkoduszość wobec Boga, otrzymała przywilej prowadzenia nas, jak pełna blasku Królowa, jak najdzielniejsza z dzielnych niewiast, w stronę królestwa niebieskiego. Wielu z nas, z różnych przyczyn obawia się, czy przypadkiem nie jest Jej „za dużo” w naszym życiu, czy przypadkiem nie będzie odbierała większej chwały niż Jej Syn. Nie trzeba się tego bać, bo gdy uważnie na Nią spojrzymy, poprzez karty Pisma czy w szczerzej modlitwie, zawsze będzie nam mówić: „Zróbcie wszystko, cokolwiek [Syn] wam powie” (J 2,5). Jej wielkość zawsze płynie ze świętości Boga. Dlatego również do nas Bóg kieruje słowa, które kiedyś usłyszał we śnie Józef: „(...) nie bój się wziąć do siebie Maryi” (Mt 1,20). Ona jest odpowiedzią na nasze dylematy. Jakże często boimy się Boga, traktujemy Go jako intruza, który zagraża naszemu szczęściu, chce nam coś odebrać, bo nie zależy Mu na naszym szczęściu. Gdy

uważnie przyjrzymy się Maryi, która ciągle jest jedną z nas, bo zalicza się do grona dzieci Kościoła, zobaczymy człowieka, kobietę, matkę, pielgrzyma – kogoś, kto całkowicie zaufał Bogu, przyjął Jego słowo, w sposób wolny powierzając Mu swój los i historię, na końcu osiągając szczęście nie do opisania. Niestety, często nie mamy nawet w części takiej wiary. Przywiązani do naszej małej stabilizacji, tęskniący za szybkim, małym, doraźnym sukcesem czy zadowoleniem, uważając, że sami wiemy lepiej, jak poprowadzić naszą historię, wcześniej czy później doznajemy przykrego zawodu. Sami, o własnych siłach nie radzimy sobie z przemijaniem, cierpieniem i śmiercią. Próbuje-
my wyrzucić z tego życia choćby skrawki szczęścia. Lata bieżą, a my popadamy w coraz większe zwątpienie, coraz mniej panując nad swoim życiem. Maryja może stać się dla nas Ewangelią, dobrą nowiną, że tylko w Bogu jest prawdziwe życie. Prawdziwe, bo się nie kończy. Ona całą sobą jest dowodem na to, że trwając wiernie przy Bogu, doświadczymy Jego bliskości, a na końcu drogi czeka nas chwała i królowanie. Bez przyłgnięcia do Boga te i podobne słowa będą jedynie pustym sloganem, a co za tym idzie, nie będą nas pociągać. Bóg zostawia nam wybór, tak jak zrobił to w przypadku Maryi. Ona wybrała Jego, nie uciekając od codziennej rzeczywistości. W Jej sercu zapewne brzmiały słowa z księgi Wyjścia: „Patrz! Kładę dziś przed tobą życie i szczęście, śmierć i nieszczęście. Ja dziś nakazuję ci miłować Pana, Boga twego i chodzić Jego drogami, pełniąc Jego polecenia, prawa i nakazy, abys żył i mnożył się, a Pan, Bóg twój, będzie ci błogosławił w kraju, który idziesz osiąść. Ale jeśli swe serce odwrócisz, nie usłuchasz, zbłądzisz i będziesz oddawał pokłon obcym bogom, służąc im – oświadczam wam dzisiaj, że na pewno zginiecie, niedługo zabawicie na ziemi, którą idziecie osiąść, po przejściu Jordanu. Biorę dziś przeciwko wam na świadków niebo i ziemię, kładąc przed wami życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Wybierajcie więc życie, abyście żyli wy i wasze potomstwo, miłując Pana, Boga swego, słuchając Jego głosu, lgnąc do Niego; bo tu jest twoje życie i długie trwa-

nie twego pobytu na ziemi, którą Pan poprzysiągł dać przodkom twoim: Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi” (Pwt 30,15-20).

Maryja wybrała życie, które przyniosło owoc na całą wieczność. Postawiła miłość do Pana Boga na pierwszym miejscu i dzisiaj na różne sposoby o tej miłości świadczy. Powróćmy do określeń wyakcentowanych na wstępie tego tekstu, zaczerpniętych z *Perfectae caritatis*. W Jej życiu odnajdujemy wszystkie elementy przedstawione jako najistotniejsze w konsekracji zakonnej. Ona właśnie troszczyła się przede wszystkim o „sprawy Boga”, słuchając natchnień Boga, Jego wybrała jako najważniejszą Osobę, podporządkowując Mu całe życie. Chowała w sercu „wszystkie sprawy”, aby nie zgubić sensu swojej historii, nie zaciemnić swojego powołania. Wśród zmagañ, prowadzona i „ocieniona” mocą Ducha Świętego doprowadzona została do chwały, którą dzisiaj odbiera. Kiedy modlimy się do Niej czy za Jej wstawienictwem zdaje się całą sobą powtarzać: „Wybieraj życie, wybieraj Boga, a nigdy tego nie pożałujesz, bo On jest Bogiem wiernym, miłującym człowieka i pragnie dla Ciebie tylko szczęścia”.

Zamiast epilogu

Jest taki obraz, ikona przedstawiająca Maryję Matkę Pana. To Częstochowska ikona Matki Bożej Jasnogórskiej z Dzieciątkiem Jezus. Oboje zdają się połączyć, tworząc tajemniczą i promieniującą jedność. Wydaje się, że jedno wskazuje na drugie. Jezus na rękach Maryi jest jakby niesiony nam, byśmy jak Ona przyjęli Go z wiarą. Jej czułe oczy patrzą na nas z troską i miłością. Blizny na twarzy mówią, że jest nam bliska w cierpieniu, że nasz trud nie jest Jej obcy, że czasami trzeba wiele cierpieć, aby obronić Tego, którego się wybrało, którego się niesie. Kontemplujmy ten obraz. W oczach Jej zobaczymy nadzieję, miłość, wiarę. Jej oczy są odbłaskiem czulej miłości Boga. Może wtedy bardziej zrozumiemy, jak bardzo pociągająca jest Ta, która całym sercem zaufała Bogu, czyniąc z Niego fundament i cel ży-

cia. Idąc dalej, jak bardzo pociągający jest każdy, kto z Boga czerpie życie, wszystkie siły witalne, duchowe i fizyczne. Łaska czyni pięknym, czyni zarazem świadkiem, inspirującym innych poszukujących drogi, bez zbędnych słów i fajerwerków. Jezus wskazuje na swoją Matkę, jakby chciał powiedzieć: „Ona wie, co to znaczy kochać, wie, co znaczy zaufać bezgranicznie, bez kalkulacji, co znaczy przyjąć ogień Bożej miłości i obecności i się nie spalić”.